

## Losy Rodziny Janowskich we Włochach 1944r.

(...) Nad Warszawą zrzucone zostały ulotki wzywające do poddania się powstańców. Niemcy zapowiadali, że jeśli Warszawa się nie podda, to wejdą do Warszawy Ukraińcy. Po południu 4 sierpnia ulice zaroily się od Ukraińców. Mieszkaliśmy na Woli, blisko torów kolejowych. Oni przyjechali pociągami, wysypali się z tych pociągów i zaczęli grasować. Strzelali po oknach, wpadali do domów, grabili, zabierali biżuterię, przyszła wiadomość o gwałcie dziewczyny. 5 sierpnia wszystkich nas postawili pod ścianą domu do egzekucji. Uniknęliśmy śmierci dzięki Władce Rawskiej, ale to temat na osobną długą opowieść.

Opuszczaliśmy Wolę 6 sierpnia. Był bardzo upalny dzień. Część mieszkańców uciekała w stronę Śródmieścia, część w stronę Bemowa i Włoch. My, pod ostrzałem Ukraińców- w stronę Włoch, do ul. Sieradzkiej, później do stacji kolejowej. Była u nas dziewczyna - młoda nauczycielka z Ciechanowa. Aresztowano jej narzeczonego i ona przyjechała do Warszawy, żeby zdobyć o nim jakieś wiadomości. I tu ją zastało powstanie. Towarzyszyła nam jak rodzina.

Przybyliśmy do Włoch na ul. Sieradzką do pani Heleny - Mamy koleżanki. Szła z nami nauczycielka z Ciechanowa i pani sąsiadka - Irena Dzielińska z małą dwuletnią córeczką Halinką i gosposią. Państwo Dzielińscy mieli sklep na Starym Mieście. Tego dnia pani Irena nie poszła do sklepu. W tym sklepie został jej mąż i syn - kilkuletni chłopak. Oni obaj zginęli.

Sąsiadka trzymała się naszej Mamy. Mama była przekonana, że na Sieradzkiej znajdziemy wszyscy schronienie. Niestety, na miejscu okazało się to niemożliwe. Było to mieszkanie małe - pokój jeden i kuchnia i pani Helena ukrywała męża, który uciekł z obozu. Ukrywała go w szafie. Wychodził z tej szafy tylko w nocy, wtedy szeroko otwierali okna, żeby mógł oddychać. Był chory na gruźlicę i na gruźlicę zmarł. W każdym razie ona nas nie mogła przyjąć.

Wtedy próbowaliśmy szukać - pukać do następnych i następnych drzwi. Próbowaliśmy dostać się gdzieś przez znajomych. Sytuacja dodatkowo była trudna ze względu na ilość osób; była z nami dziewczyna z Ciechanowa, sąsiadka..., ale nasza Mama była społecznikiem i tak musiało być.

To była długa droga. W końcu znaleźliśmy się w tym domu na Słowackiego (obecna Rybnicka).

W tym domu mieszkała znajoma, tylko nie pamiętam, czy to była koleżanka Mamy, czy pani Heleny, a może jednej i drugiej, bo pani Helena była znajomą Mamy z dzieciństwa. Charakterystyczne było to, że ta pani nie miała do łokcia ręki. Nie pamiętam jej nazwiska, ale na imię miała Bronisława. Jak tam dotarliśmy, Mama była już ogromnie zmęczona. Pamiętam na podwórzu była studnia z pompą i wielka kałuża. I pamiętam, że Mama próbowała się tą wodą orzeźwić, bo po prostu już padała. Ta pani przyjęła nas, dała nam jeść. A co dalej, to nie było takie proste. U niej była już chyba jakaś jej rodzina, nawet dwie rodziny, które wcześniej przyjęła.

Ludzie byli jednak wtedy życzliwi, może nie wszyscy, ale duża część. Chcieli zorganizować jakąś dla nas pomoc. I tak nasza sąsiadka - pani Irena z córeczką i gosposią zostały ulokowane na pierwszym piętrze, u rodziny, od podwórza mieli pokój z balkonem.

W tym domu było jedno mieszkanie jednoizbowe, które było zamknięte na klucz i klucz miał administrator domu. Mieszkał na pierwszym piętrze. A to mieszkanie było mieszkaniem Mamy znajomego, może więc dlatego my w ogóle tam poszliśmy, tego teraz nie wiemy. Ale dzięki temu administratorowi i tym rozmowom, które tam miały miejsce, on otworzył to mieszkanie i nas tam wpuścił. On zrobił dla nas jeszcze jedną wielką rzecz, o czym dowiedzieliśmy się później od naszej Mamy. Otóż wszyscy mieszkańcy Warszawy, którzy zatrzymali się we Włochach byli traktowani przez Niemców jak bandyci, więc ten administrator zameldował nas w tym mieszkaniu z datą wsteczną. W ten sposób mieliśmy potwierdzenie, że jesteśmy mieszkańcami Włoch sprzed wybuchu powstania. My jesteśmy wciąż za to mu wdzięczni.

Mieszkanie było mieszkaniem pana Aleksandra Smolińskiego, Mamy znajomego z młodości. I my w tym mieszkaniu spędziliśmy cały okres powstania warszawskiego. Różowo nie było, dlatego że mieszkanie było bardzo małe; było jedno łóżko i jedno łóżeczko dziecinne. Ponieważ było nas kilkoro, więc na łóżku trzeba było leżeć wszcz. Ja przez cały czas spałam w tym małym łóżeczku. Miałam 10 lat, więc moje nóżki też musiały zwiisać poza łóżeczko, ale byliśmy szczęśliwi, że mieliśmy dach nad głową. Jeśli mieszkało się u kogoś, to miało się jeszcze też i jedzenie. Nasza sąsiadka była na utrzymaniu tych wspaniałych ludzi, u których mieszkała. Natomiast my oczywiście otrzymaliśmy na wstępie pomoc, ale ta pani, która miała na głowie całą gromadę ludzi, nie mogła jeszcze nam dawać jedzenia. A my nie mieliśmy skąd go brać, tak że były duże kłopoty. Mama wszystko co się dało wyprzedawała. Pamiętam miałam jeden kolczyk, bo drugi zgubiłam, więc ten który mi został też bardzo szybko został spieniężony. Taki był czas i takie realia - nie było pierścionków dla kobiet.

Branka 16 września 1944r to była największa obława, ale nie pierwsza. Spróbuję sobie przypomnieć. My przybyliśmy do Włoch 6 sierpnia, bo Irenka pod koniec sierpnia już nas tam odnalazła, już była z nami. (...) Natomiast pierwszą sytuację pamiętam z pierwszej połowy sierpnia. Pamiętam, że rano jeździł po Włochach samochód z tubą i ogłaszał, że wszyscy mieszkańcy Warszawy, którzy zatrzymali się we Włochach mają się zgromadzić na stacji kolejowej. Dotyczyło to nie tylko mężczyzn, ale i kobiet. Dlaczego mówię, że i kobiet - bo pamiętam że ta pani z Ciechanowa poszła na to wezwanie Niemców i myślę, że to było w połowie sierpnia, bo Irenka jeszcze w Pruszkowie spotkała ludzi z tej branki.<sup>1)</sup>

Mama oczywiście nie zgłosiła się, bo miała to wsteczne zameldowanie. I teraz, od tego momentu wszyscy mieszkańcy Warszawy, którzy zatrzymali się u dobrych ludzi we Włochach zaczęli uciekać albo ukrywać się. Szczególnie zagrożeni byli mężczyźni.

Wśród tych ludzi u pani Bronki był mężczyzna, który (nie pamiętam ani imienia ani nazwiska, ale Mama mówiła że był krawcem) nie stawiał się na to wezwanie Niemców. Więc oni wymyślili, że ponieważ my mamy oddzielne mieszkanie, to można go przetrzymać w naszej węglowej kuchni. W każdym razie uzgodnili to z naszą Mamą, że tę kuchnię wyprują i on będzie się tam ukrywał. W tej kuchni. Bo od tej branki Niemcy wciąż krążyli po domach. Szukali i wygarniali ludzi z Warszawy. Jeśli kogoś znaleźli to były tego konsekwencje - wywózki do obozów koncentracyjnych albo śmierć.

I tak się stało. Mama czuła pewnie dług wdzięczności wobec pani Bronki, która nas przygarnęła, i zgodziła się na to wyprucie kuchni. Może Mama nie przypuszczała, że tak długo - do połowy stycznia - tam będziemy mieszkali i że pokój nie

będzie ogrzany i nie będzie można zrobić nawet herbaty. Ale to nie tylko to, bo to tylko jakaś niedogodność, ale przecież groziło nam wszystkim wielkie niebezpieczeństwo. Ten pan, jak tylko wiadomo było że Niemcy szukają, przybiegał i wchodził do kuchni. Wystarczyło przecież, żeby któryś z Niemców otworzył drzwiczki i zobaczył rękę czy nogę tego ukrywającego się człowieka. To było wielkie ryzyko. Mama na tej kuchni zawsze miała miednicę z wodą, wisiał tam jakiś fartuszek i stały naczynia. I jak Niemcy wchodziłi, Mama zawsze w tej miednicy na kuchni zmywała naczynia, tak żeby sobą tę kuchnię zasłonić i żeby na tej kuchni coś się działo. Na szczęście nigdy ten człowiek nie kichnął ani nie zakaszał. My, jako dzieci wiedzieliśmy o tym. Nawet czasami siedzieliśmy na czatach. Wiedzieliśmy, że dlatego nie jemy gotowanego jedzenia. Tak było do wyzwolenia Warszawy.

Obok tego naszego mieszkania, w mieszkaniu z balkonem kwaterowało dwóch Niemców z Wermachtu, którzy dowozili Niemcom do Warszawy zaopatrzenie. Właścicielkę tego mieszkania Niemcy przenieśli do kuchni. To była samotna, starsza pani. Ta pani wiedziała oczywiście jaka jest u nas sytuacja, więc my od czasu do czasu mogliśmy u tej pani ugotować np. ziemniaki, co sporadycznie się zdarzało. Musieliśmy w każdym razie być bardzo skryci. Po zakończeniu powstania, ci Niemcy wyprowadzili się, bo cała ta grupa wycofała się z Włoch.

Mama ciągle rozpaczała. Wszyscy myśleliśmy, że Irenka zginęła. Mama wciąż tylko chodziła do kościoła i do tego obrazu Matki Boskiej ciągle się modliła. Tak mijały dni, do tego głód i stałe zagrożenie życia.

Były wiadomości z Warszawy, tłumy ludzi przewijały się przez Włochy, całe kolumny szły. Przy którejś brance pobiegliśmy z Jerzykiem na dworzec i widzieliśmy tych ludzi na peronach. To był ogromny, zbity tłum, który został przewieziony do Pruszkowa, a stamtąd do innych obozów. My zawsze szukaliśmy Irenki. Ona w Pruszkowie spotkała sąsiadów z Woli - państwa Sapińskich, którzy widzieli nas w kościele we Włochach. W ten sposób Irena dowiedziała się że żyjemy. To dodało jej sił, żeby za wszelką cenę wydostać się z obozu. Pomagała jej w tym polska tłumaczka. Irena znalazła nas po trzech tygodniach rozłąki i już zostaliśmy razem. Brakowało tylko Taty, który - aresztowany podczas łapanki w 1943 roku - wrócił do domu w połowie maja 1945 roku.

Tym wspomnieniem Irenka, Jerzyk i Janeczka chcieli oddać wdzięczność i pamięć wszystkim spotkanym ludziom z Włoch, którzy pomogli przeżyć ich rodzinie ciężki czas od sierpnia 1944 do połowy stycznia 1945 roku, a także polskim kobietom z obsługi obozu w Pruszkowie, dzięki którym Irenka przeżyła.

*Fragmety opowiadania Pani Janiny Mańkowskiej i Pana Jerzego Janowskiego z listopada 2004r złożyła Jolanta Piecuch*

<sup>1)</sup> *Dzięki temu Irenka -14 letnia siostra Janeczki i Jerzyka, która wyszła z domu 1 sierpnia na zbiórkę powstaniową i po wielu tragicznych przejściach trafiła do Pruszkowa - odnalazła swoją mamę i rodzeństwo.*



rok 1942:

8-letnia Janeczka, 12-letnia Irenka  
i 10 letni Jerzyk



*Dom na Rybnickiej, w którym dzieci z Mamą spędziły pół roku.*